

*Prosektorium. Po ośmiu godzinach spędzonych w chłodni
martwa dziewczyna otwiera oczy.*

TESS GERRITSEN

Autopsja



Rozdział pierwszy

Mam na imię Mila, a to jest moja historia.

Jest tyle miejsc, od których mogłabym rozpocząć moją relację. Mogłabym zacząć od Krzywicy, miasteczka nad brzegiem rzeki Serwecz, w okręgu Miadziel, w którym dorastałam. Mogłabym zacząć od momentu śmierci mojej matki, gdy miałam osiem lat, albo od wypadku ojca, który wpadł pod koła ciężarówki sąsiada, kiedy miałam dwanaście. Myślę jednak, że powinnam ją zacząć dopiero od pewnego miejsca na meksykańskiej pustyni, w którym się znalazłam — daleko od mojego domu na Białorusi — w miejscu, w którym straciłam niewinność. W miejscu, w którym umarły moje marzenia.

Jest listopadowy dzień. Na bezchmurnym niebie, bardziej błękitnym niż wszystkie nieba, jakie dotąd widziałam, szybują wielkie czarne ptaki. Siedzę w białej furgonetce, wieziona przez dwóch mężczyzn, którzy nie znają mojego prawdziwego nazwiska, ani też nie wydaje się to ich interesować. Śmieją się ze mnie i nazywają mnie Czerwoną Sonią — tak jest od chwili, kiedy zobaczyli mnie wysiadającą z samolotu w Mexico City. Ania mówi, że to z powodu moich włosów. *Czerwona Sonia*

jest tytułem filmu, którego nie oglądałam, ona zaś tak. Szeptem mi do ucha, że film jest o pięknej wojowniczce, która zabija mieczem wrogów. Zaczynam myśleć, że mężczyźni sobie ze mnie kpią, bo przecież nie jestem wojowniczką, ani nie jestem piękna. Mam siedemnaście lat i boję się, bo nie wiem, co będzie dalej.

Trzymamy się z Anią za ręce, podczas gdy samochód wiezie nas oraz pięć innych dziewcząt przez nagą pustynię, porośniętą suchymi zaroślami. „Zorganizowana wycieczka po Meksyku” — jak obiecywała kobieta w Mińsku, ale wiedziałyśmy wszystkie, czym miała być w rzeczywistości. Ucieczką. Szansą. „Wsiądźcie w samolot do Mexico City, powiedziała nam, a tam na lotnisku będą na was czekać ludzie, którzy pomogą wam przedostać się przez granicę. Zaczniecie nowe życie. Jakie perspektywy macie tutaj? Nie ma pracy dla dziewcząt, nie ma mieszkań, nie ma przyzwoitych mężczyzn. Nie macie rodziców, którzy by wam pomogli. A ty, Milu, mówisz tak dobrze po angielsku, że w Ameryce dasz sobie radę ot, tak! Pstryknęła palcami. — Odwagi! Wykorzystajcie szansę! Pracodawcy opłacają wam podróż, więc nie ma się nad czym zastanawiać”.

Nie za to nam płacą, myślę sobie, patrząc na bezmiar pustyni, przez którą jedziemy. Ania siedzi przytulona do mnie, reszta dziewczyn milczy. Każda z nas zaczyna zadawać sobie to samo pytanie: Czy dobrze zrobiłam, przyjeżdżając tu?

Jedziemy przez cały ranek. Siedzący z przodu mężczyźni nie odzywają się do nas, tylko ten obok kierowcy od czasu do czasu odwraca się, żeby na nas popatrzeć. Jego oczy za każdym razem wędrują do Ani, a mnie się nie podoba jego spojrzenie. Ona tego nie zauważa, bo drzemie na moim ramieniu. Jest tak nieśmiała, że w szkole nazywałyśmy ją Myszka. Rumieniła się

pod spojrzeniem każdego chłopaka. Jesteśmy wszystkie w tym samym wieku, ale gdy patrzę na nią, widzę twarz śpiącego dziecka i myślę: trzeba było przekonać ją, by została w Krzywicy. Źle zrobiłam, pozwalając jej ze sobą jechać.

Po jakimś czasie nasza furgonetka skręca z autostrady na gruntową drogę. Pozostałe dziewczęta budzą się z odrętwienia i patrzą przez okna na brązowe wzgórza, na których porozrzucane głazy wyglądają jak prehistoryczne kości. W moim rodzinnym mieście spadł już pierwszy śnieg, lecz tu, w kraju, który nie zna zimy, jest tylko kurz, błękitne niebo i suche krzaki. Samochód staje, obaj mężczyźni odwracają się i patrzą na nas.

Kierowca mówi po rosyjsku:

— Dalej idziemy pieszo. To jedyny sposób, żeby przejść przez granicę.

Odsuwają boczne drzwi i po kolei wysiadamy, w sumie siedem dziewcząt, mrużąc oczy i przeciągając się po długiej jeździe. Mimo oślepiającego słońca jest chłodno, znacznie zimniej, niż się spodziewałam. Ania drży z zimna i bierze mnie za rękę.

— Za mną — rozkazuje kierowca i skręca z gruntowej drogi na ścieżkę, która prowadzi w stronę wzgórz. Idziemy między głazami i ciernistymi krzewami, które przyczepiają się do nóg. Ania ma pantofle bez palców i musi często przystawać, żeby wysypać ostre kamyki. Chce nam się pić, ale mężczyźni tylko raz pozwalają nam się zatrzymać, żebyśmy napiły się wody, po czym znów wspinamy się kamienistą ścieżką jak niezdarne kozy. Dochodzimy do grzbietu, po czym zaczynamy schodzić na drugą stronę, ku kępie drzew. Docieramy do dna żlebu, który okazuje się łożyskiem wyschniętej rzeki. Na brzegach widać śmiecie, pozostawione przez idących tą samą drogą

naszych poprzedników: plastikowe butelki po wodzie, brudna pielucha, znoszony winylowy but, popękany od słońca, powiewający na gałęzi strzep niebieskiego brezentu. To szlak, którym szli ludzie marzący o amerykańskim raju, a teraz przekrada się nim nasza siódemka. Widok śmieci rozwiewa moje lęki — są znakiem, że jesteśmy już blisko celu.

Mężczyźni nas popędzają. Zaczynamy się wspinać na przeciwnieległy brzeg.

Ania czepia się mojej ręki.

— Milu, nie mogę iść dalej.

— Musisz.

— Mam skaleczoną stopę.

Patrzę na jej delikatną skórę, na krew płynącą z poranionych palców u nóg i wołam do mężczyzn:

— Moja przyjaciółka pokaleczyła sobie nogi!

Kierowca odpowiada:

— Nie obchodzi mnie to. Musicie iść dalej.

— Nie możemy. Potrzebny jest bandaż.

— Idziecie dalej, albo was tutaj zostawimy.

— Pozwólcie jej przynajmniej zmienić buty!

Mężczyzna się odwraca. W ciągu sekundy zachodzi w nim zmiana. Wyraz jego twarzy sprawia, że Ania cofa się przestraszona. Zbliża się do mnie, reszta dziewczyn zamiera z przerażeniem w oczach, zbijając się w gromadkę jak stado przestraszonych owiec.

Uderzenie jest tak szybkie, że nie widzę ruchu ręki. Ładuję na kolanach i przez kilka sekund widzę tylko ciemność. Słyszę krzyk Ani dochodzący jakby z dużej odległości, a potem czuję ból w szczęcie i smak krwi. Widzę, jak kapie jasnymi kroplami na kamienie łóżyska rzeki.

— Wstawaj! No, już! Straciliśmy dość czasu.

Z trudem wstaję. Ania patrzy na mnie zbolałym spojrzeniem.

— Milu, uspokój się! — szepce. — Musimy robić, co każą! Nogi mnie już nie bołą, naprawdę! Mogę iść dalej.

— Dostałaś nauczkę? — pyta mnie mężczyzna. Odwraca się do pozostałych dziewcząt. — Widzicie, co się stanie, kiedy mnie wkurzycie? Nie próbujcie więcej pyskować! Idziemy!

Dziewczyny ruszają po kamieniach. Ania bierze mnie za rękę i ciągnie. Jestem zbyt oszołomiona, żeby się opierać. Wlokę się za nią, przelękając krew, ledwie widząc ścieżkę przed sobą.

Okazuje się, że to już niedaleko. Wspinamy się na drugi brzeg i po przejściu obok kępy drzew wychodzimy na gruntową drogę, gdzie czekają na nas dwie furgonetki.

— Stańcie w szeregu — mówi nasz kierowca. — Prędko. Tamci chcą was obejrzeć.

Otepiałe, ustawiamy się w szeregu: siedem dziewcząt w zakurzonych sukienkach, zmęczonych, z obolałymi nogami.

Z furgonetek wysiadają czterej mężczyźni i witają się z naszym kierowcą po angielsku. Są Amerykanami. Potężnie zbudowany mężczyzna w czapce baseballowej idzie powoli i nam się przypatruje. Wygląda jak opalony farmer, dokonujący przeglądu swoich krów. Zatrzymuje się przede mną i marszczy brwi na widok mojej twarzy.

— Co jej się stało? — pyta.

— Zaczęła pyskować — odpowiada kierowca. — To tylko skaleczenie.

— I tak jest za chuda. Kto ją zechce?

Czy nie wie, że rozumiem po angielsku? Czy go to w ogóle obchodzi? Może jestem chuda, myślę sobie, za to ty masz ryj wieprza.

Przenosi wzrok na inne dziewczęta.

— W porządku — mówi. Na jego twarzy pojawił się uśmiešek. — Obejrzyjmy je sobie dokładniej.

Kierowca odwraca się w naszą stronę.

— Rozbierzcie się — mówi po rosyjsku.

Patrzymy na niego zaszokowane. Do tej chwili łudziłam się, że, obiecując nam pracę w Ameryce, kobieta w Mińsku mówiła prawdę. Że Ania będzie opiekunką trzech dziewczynek, a ja sprzedawczynią w sklepie z sukniami ślubnymi. Nawet kiedy kierowca zabrał nam paszporty i kazał iść kamienistym szlakiem, myślałam cały czas: może nas nie okłamała. Zobaczymy, co będzie dalej.

Żadna z nas nie reaguje na rozkaz. Jego żądanie nie mieści nam się w głowach.

— Słyszycie, co do was mówię? — pyta kierowca. — Chcecie wyglądać tak jak ona? — Wskazuje na moją spuchniętą od uderzenia twarz, która nadal mnie boli. — Rozbierać się!

Jedna z dziewcząt kręci głową i zaczyna płakać. To wywołuje w nim wściekłość. Uderzenie odrzuca jej głowę w bok, a ona zatacza się do tyłu. Mężczyzna chwyta ją jedną ręką, a drugą rozrywa jej bluzkę. Piszcząc, dziewczyna próbuje go odepchnąć, lecz drugie uderzenie rzuca ją na ziemię. Jakby mu było za mało, mężczyzna podchodzi i wymierza jej złośliwego kopniaka w żebra.

— Masz! — syczy, po czym zwracając się do nas, pyta: — Która chce być następna?

Jedna z dziewcząt pospiesznie rozpina guziki bluzki. Za jej przykładem wszystkie wypełniamy jego rozkaz: odpinamy guziki bluzek, rozsuwamy zamki spódniczek i spodni. Nawet Ania — wstydliva mała Ania — posłusznie zdejmuje top.

— Zdjąć wszystko, kurwy — rozkazuje kierowca. — Dlaczego się tak grzebiecie? Już wkrótce nauczycie się robić to

szybko. — Podchodzi do dziewczyny, która jeszcze nie zdjęła majtek i stoi, osłaniając skrzyżowanymi ramionami piersi. Wzdryga się, kiedy mężczyzna łapie gumkę i zdziera z niej majtki.

Czterej Amerykanie zaczynają chodzić wokół nas jak wilki, ich spojrzenia prześlizgują się po naszych ciałach. Ania trzęsie się tak bardzo, że słyszać szczękanie jej zębów.

— Biorę tę na próbną jazdę. — Jedna z dziewcząt, wyciągnięta z szeregu, szlocha. Mężczyzna nawet nie stara się odejść z nią na stronę. Opiera dziewczynę o furgonetkę, ściąga jej majtki i wchodzi w nią. Dziewczyna jęczy.

Pozostali mężczyźni idą za jego przykładem. Nagle czuję, że któryś odciąga ode mnie Anię. Próbuję przytrzymać ją za rękę, ale kierowca rozrywa nasze dłonie.

— Ciebie nikt nie zechce — mówi. Wpycha mnie do furgonetki i zamyka drzwi.

Wszystko, co się potem dzieje słyszę i widzę przez okno: walkę dziewcząt, ich krzyki. Nie mogę znieść tego widoku, a jednocześnie nie mogę przestać patrzeć.

— Milu! — krzyczy Ania. — Milu, pomóż mi!

Dobijam się do drzwi, chcąc przyjść jej na ratunek. Mężczyzna przewrócił ją i rozwarł jej uda. Ania leży z przegubami przyciśniętymi do ziemi, oczy ma zamknięte z bólu. Ja też krzyczę, walę pięściami w szyby, ale nie chcą się stłuc.

Kiedy mężczyzna kończy, jest poplamiony jej krwią. Zapina spodnie i mówi głośno:

— To było bardzo przyjemne.

Patrzę na Anię. Z początku myślę, że nie żyje, ponieważ się nie rusza. Mężczyzna nawet się na nią nie ogląda, tylko sięga do plecaka po butelkę z wodą i pije łapczywie. Nie interesuje go, czy dziewczyna wraca do życia.

Nagle Ania podnosi się i zaczyna biec.

Ucieka w głąb pustyni, a ja napieram rękami na szybę.
Biegnij, Aniu! Biegnij!

— Hej! — krzyczy jeden z mężczyzn. — Ona zwiewa!

Ania jest coraz dalej, naga i bosa, ostre kamienie z pewnością ranią jej stopy. Ma przed sobą bezludną pustynię, ale się nie waha.

Nie oglądaj się! Biegnij naprzód! Biegnij...

Huk wystrzału mrozi mi krew w żylach.

Ania leci do przodu i pada płasko na ziemię, ale nie rezygnuje. Dźwiga się, robi parę chwiejnych kroków, po czym pada na kolana. Pełźnie na czworakach, każdy centymetr jest dla niej wysiłkiem, a zarazem sukcesem. Wyciąga przed siebie rękę, jakby podawała ją komuś, kogo nikt z nas nie widzi. Słychać drugi strzał, po którym upada i już nie wstaje.

Kierowca furgonetki wsuwa pistolet za pas i patrzy na dziewczęta. Wszystkie płaczą i tulą się do siebie, spoglądając na pustynię, gdzie leży ciało Ani.

— To strata — mówi mężczyzna, który ją zgwałcił.

— Za dużo zachodu, żeby za nią gonić — odpowiada kierowca. — Macie do wyboru jeszcze sześć innych.

Wypróbowawszy towar, zaczynają się o nas targować jak o stado bydła. Nie dosłyszałam, ile w końcu za nas zapłacono, wiem tylko, że dla dobicia targu poszłam po okazyjnej cenie. Zostajemy rozdzielone, po trzy do każdej furgonetki.

Kiedy odjeżdżamy, rzucam ostatnie spojrzenie na ciało Ani. Nie zatroszczyli się nawet, żeby ją pogrzebać: leży wystawiona na działanie słońca i wiatru, a tymczasem na niebie zaczynają już krążyć głodne ptaki. Za parę tygodni nic z niej nie zostanie. Zniknie, tak jak ja zniknę w kraju, w którym nikt mnie nie zna. W Ameryce.

Dojeżdżamy do szosy. Widzę znak: US 94.

Rozdział drugi

Doktor Maura Isles przez cały dzień nie była na świeżym powietrzu. Od siódmej rano wdychała woń śmierci, zapach, z którym była tak oswojona, że nie czuła obrzydzenia, gdy nóż przecinał zimną skórę, a z odsłoniętych organów wewnętrznych buchał obrzydliwy fetor. Funkcjonariusze policji, którzy czasem uczestniczyli w autopsjach, nie byli tak odporni. Od czasu do czasu czuła zapach maści Vicks, którą smarowali sobie dziurki od nosa, by wytrzymać odór, lecz często nawet maść nie pomagała i Maura widywała, jak nagle, chwiejąc się, rzucali się do zlewu, żeby zwymiotować. Policjanci nie byli tak jak ona przyzwyczajeni do nagłych powiewów zapachu formaliny i siarkowego odoru rozkładających się błon.

Dziś do zwykłego konglomeratu zapachów doszedł osobliwy słodki akcent: woń olejku kokosowego, wydobywająca się ze skóry leżącej na stole sekcyjnym pani Glorii Leder. Była rozwódką, miała pięćdziesiąt lat, szerokie biodra, obfite piersi i pomalowane na jaskraworóżowy kolor paznokcie u nóg. Brązowa opalenizna pokrywała miejsca nieprzesłonięte kostiumem kąpielowym, w którym została znaleziona obok jej

własnego basenu. Miała na sobie bikini, co nie było najodpowiedniejszą kreacją dla ciała w średnim wieku. Kiedy ostatnio miałam okazję włożyć kostium kąpielowy?, pomyślała Maura, czując absurdalne ukłucie zazdrości w stosunku do pani Glorii Leder, która ostatni dzień swojego życia spędziła, rozkoszując się słonecznym letnim dniem. Był już prawie sierpień, a Maura jeszcze ani razu nie była na plaży czy na basenie, nawet nie opalała się w swoim ogrodzie.

— Rum z colą — powiedział młody policjant, stojący na końcu stołu. — Myślę, że to właśnie piła. Obok jej leżaka stała szklanka z napojem.

Policjanta Buchanana Maura widziała w kostnicy pierwszy raz. Denerwowało ją ciągle poprawianie papierowej maski i przestępowanie z nogi na nogę. Chłopak wyglądał zbyt młodo jak na policjanta. Wszyscy oni zaczęli wyglądać zbyt młodo.

— Zbadałeś zawartość szklanki? — spytała.

— Uhm... nie, proszę pani. Powąchałem ją tylko. Piła z całą pewnością rum z colą.

— O dziewiątej rano? — Maura spojrzała na Yoshimę, swojego asystenta. Jak zwykle milczał, lecz uniesiona brew stanowiła najwymowniejszy komentarz, jakiego mogła się po nim spodziewać.

— Nie wypila zbyt dużo — dodał Buchanan. — Szklanka była prawie pełna.

— W porządku — powiedziała Maura. — Obejrzyjmy jej plecy.

Z pomocą Yoshimy przekręciła ciało na bok.

— Ma na biodrze tatuaż — zauważyła. — Mały niebieski motylek.

— Chryste — sapnął Buchanan. — Kobieta w jej wieku?

Maura spojrzała na niego.

— Pięćdziesięciolatka to według ciebie staruszka?

— Chciałem tylko powiedzieć... hmm, moja mama ma tyle.

Ostrożnie, chłopcze. Mam tylko dziesięć lat mniej.

Wzięła skalpel i zaczęła ciąć. To była jej piąta sekcja tego dnia, ponieważ doktor Costas wziął urlop, a chłodnia była pełna worków z ciałami. Mimo iż nadrobiła zaległości, w lodówce zostały jeszcze dwa niedawno przywiezione ciała. Będą musiały poczekać do następnego dnia. Personel administracyjny kostnicy poszedł już do domu, a Yoshima popatrywał znacząco na zegar, najwidoczniej chcąc zrobić to samo.

Przecięła skórę i otworzyła klatkę piersiową i brzuch. Wyjąwszy organy wewnętrzne, umieściła je na stoliku preparacyjnym, by pobrać z nich skrawki histopatologiczne. Gloria Leder odsłaniała jeden po drugim swoje sekrety: stłuszczałą wątrobę, zdradzającą zbyt wiele rumów z colą, macicę guzową od mięśniaków.

Na koniec, otworzywszy czaszkę, odkryli przyczynę jej śmierci. Krwotok podpajęczynówkowy, stwierdziła Maura, wyjmując dłońmi w rękawiczkach mózg. Spojrzała na Buchanana. Był bledszy, niż gdy wchodził do pomieszczenia.

— Ta kobieta prawdopodobnie miała tętniaka wewnątrzczaszkowego w jednej z arterii u podstawy mózgu. Nadciśnienie mogło spowodować krytyczne pogorszenie jej stanu.

Buchanan przełknął ślinę, wzrok miał utkwiony w płacie skóry, który przed chwilą pokrywał czaszkę Glorii Leder, teraz leżącym luźno na jej twarzy. To był widok, który zwykle ich przerażał; na tym etapie sekcji, kiedy twarz zapadała się jak wysłużona gumowa maska, na ogół gwałtownie mrugali lub odwracali wzrok.

— A zatem... stwierdza pani, że umarła śmiercią naturalną? — spytał cicho.

— Zgadza się. Nie masz tu nic więcej do roboty.

Młody człowiek z ulgą odszedł od stołu, zdejmując pośpiesznie fartuch.

— Myślę, że potrzebuję trochę świeżego powietrza...

Ja też, pomyślała Maura. Jest letni wieczór, mój ogród wymaga podlania, a ja przez cały dzień nie wyszłam nawet na chwilę na dwór.

Mimo to godzinę później nadal tkwiła przy swoim biurku, przeglądając wyniki laboratoryjne i dyktując sprawozdania. Choć już zdjęła fartuch, nadal czuła zapach kostnicy, zapach, którego nie dawało się usunąć żadną ilością wody i mydła, ponieważ tkwił w jej pamięci. Wzięła do ręki dyktafon i zaczęła nagrywać sprawozdanie z autopsji Glorii Leder.

— Pięćdziesięcioletnia biała kobieta, znaleziona martwa na leżaku ogrodowym obok swojego basenu. Prawdłowo rozwinięta i odżywiona, bez widocznych urazów. Zewnętrzne oględziny ujawniły dawną bliznę chirurgiczną na brzuchu, prawdopodobnie po operacji wyrostka robaczkowego. Mały tatuaż przedstawiający motylka na... — Przerwała, przywołując w pamięci widok. Czy był na prawym, czy na lewym biodrze? Boże, jestem taka zmęczona, że nie zapamiętałam. — Ten szczegół nie miał istotnego znaczenia, lecz Maura nie lubiła niedokładności.

Podniosła się z krzesła i ruszyła pustym korytarzem w stronę klatki schodowej. Jej kroki na betonowych stopniach odbijały się wzmocnionym echem. Wszedłszy do laboratorium, włączyła światło, stwierdzając, że Yoshima jak zwykle zostawił wnętrze w nieskazitelным stanie: stoły były wytarte i błyszczące, podłogi zmyte do czysta. Poszła do chłodni i odsunęła ciężkie drzwi.

Z wewnątrz buchnął tuman zimnej mgły. Zacerpnąwszy powietrza, jakby miała dać nurka do cuchnącej wody, weszła do środka.

Zwłoki zajmowały osiem wózków; większość była gotowa do zabrania przez domy pogrzebowe. Idąc wzdłuż rzędu, Maura sprawdzała kartoniki przyłączone do palców u nóg, aż znalazła nazwisko Glorii Leder. Odsunąwszy zamek błyskawiczny worka, wsunęła ręce pod pośladki trupa i obróciła go na bok na tyle, by móc rzucić okiem na tatuaż.

Był na lewym biodrze.

Zapięła worek i ruszyła do wyjścia. Będąc już przy drzwiach, nagle zamarła. Odwróciwszy się, spojrzała w głąb chłodni.

Czyżbym się przesłyszała?

Włączył się wiatraczek, wydmuchujący lodowate powietrze z otworów klimatyzacyjnych. Tak, to musiał być wiatraczek, pomyślała. Albo kompresor lodówki. A może odgłos chłodzącej cieczy w rurkach? Czas wracać do domu. Była tak zmęczona, że zaczynała mieć przywidzenia.

Znów się odwróciła, by wyjść, i znów zamarła. Odwróciwszy się, spojrzała na rząd worków. Serce biło jej tak mocno, że zagłuszało wszelkie inne odgłosy.

Coś się poruszyło. Jestem pewna.

Rozpiąwszy pierwszy worek, ujrzała mężczyznę, którego pierś została po sekcji zaszyta. Ten z całą pewnością nie żył.

Z którego worka dochodził ten odgłos?

W następnym worku zobaczyła zakrwawioną twarz i roztrzaskaną czaszkę. Trup.

Trzęsącymi się rękami zaczęła rozpinać trzeci worek. Rozchylone plastikowe brzegi odsłoniły bladą twarz ze zsiniałymi wargami czarnowłosej młodej kobiety. Rozpiąwszy worek do końca, zobaczyła mokrą bluzkę przylegającą do ciała i lśnienie

kropel zimnej wody na białej skórze. Kiedy rozchyliła bluzkę, zobaczyła pełne piersi i szczupłą talię. Ciało było nietknięte, palce u rąk i nóg różowe, na ramionach rysowały się niebieskie żyłki. Patolog jeszcze się za nie nie zabrał.

Przyłożywszy palce do szyi kobiety, poczuła zimno skóry. Zbliżyła policzek do jej warg, próbując poczuć minimalny powiew, usłyszeć najdrobniejszy szmer oddechu.

Trup otworzył oczy.

Maurek zatkało. Odskoczyła, wpadając na stojący za nią wózek na kółkach i o mało nie upadła, kiedy odjechał. Kiedy wstawała, zobaczyła, że mimo otwartych oczu kobieta patrzy niewidzącym wzrokiem, a sine wargi szepcą bezgłośnie słowa.

Trzeba ją natychmiast wyciągnąć z lodówki! Trzeba ją ogrzać!

Maura próbowała pchnąć wózek w stronę drzwi, lecz nie dawał się ruszyć. W popłochu zapomniała odblokować kółka. Pochyliwszy się nad dźwignią, zwolniła ją. Tym razem udało się wytoczyć go ze szczękiem z chłodni do cieplejszego pomieszczenia.

Oczy kobiety znów były zamknięte. Zbliżywszy twarz do jej warg, Maura starała się wyczuć podmuch powietrza, bez skutku. Chryste! Nie mogę cię teraz stracić!

Nie wiedziała o niej niczego — nie znała jej nazwiska, ani dlaczego „zmarła”. Kobieta mogła być siedliskiem wirusów, mimo to Maura przytknęła usta do jej ust i o mało się nie zakrztusiła, poczuwszy smak zimnego ciała. Trzema głębokimi wydechami wpompowała w płuca kobiety powietrze, po czym przyłożyła palce do jej szyi, by zbadać puls.

Czy mi się zdaje? Może to, co czuję, jest moim własnym pulsem?

Złapała za słuchawkę ściennego telefonu i wystukała 911.

— Dyspozytor pogotowia, słucham?

— Mówi doktor Isles z biura lekarza sądowego. Potrzebny ambulans. Mam tu kobietę z zatrzymaniem akcji oddychania...

— Przepraszam, czy pani powiedziała, że dzwoni z biura lekarza sądowego?

— Tak! Jestem na tyłach budynku, przy rampie załadunkowej. Laboratorium jest przy Albany Street, naprzeciwko centrum medycznego.

— Zaraz wyślę ambulans.

Maura odwiesiła słuchawkę. Przewyciężając obrzydzenie, powtórnie przyłożyła usta do warg kobiety. Trzy szybkie oddechy, po czym znów dotknęła palcami jej tętnicy szyjnej.

Jest puls! Tym razem na pewno!

Nagle usłyszała świst, po którym nastąpiło kaszlnięcie. Kobieta łapała powietrze, w jej gardle bulgotał śluz.

Oddychaj, nieznajoma! Walcz!

Przybycie ambulansu oznajmiło wycie syreny. Otworzywszy tylne drzwi budynku, Maura stanęła w progu, mrużąc oczy przed migającymi światłami zatrzymującego się ambulansu, z którego wyskoczyli dwaj ratownicy medyczni.

— Ona jest tu, w środku! — zawołała Maura.

— Nadal nie oddycha?

— Nie, zaczęła oddychać. Wyczułam również puls.

Mężczyźni weszli do budynku i osłupieli na widok kobiety na wózku.

— Jezu — mruknął jeden z nich — dlaczego ona jest w worku dla trupów?

— Odkryłam ją w chłodni — wyjaśniła Maura. — Prawdopodobnie jest w stanie hipotermii.

— Oby tylko tyle.

Wyjęli maskę tlenową i rurki kroplówki. Przymocowali

przewody elektrokardiografu i na monitorze ukazała sinusoidalna linia, jakby kreślona przez leniwego rysownika. Serce kobiety biło, oddychała, mimo to nadal sprawiała wrażenie martwej.

Zakładając na jej zwiotczone ramię opaskę uciskową, ratownik spytał:

— O co tu chodzi? Jak ona się tu znalazła?

— Nie mam pojęcia — odpowiedziała Maura. — Zeszłam do chłodni, żeby sprawdzić pewien szczegół u innych zwłok i usłyszałam, że się poruszyła.

— Czy takie rzeczy... hmm... często się tu zdarzają?

— To pierwszy przypadek w mojej praktyce. — Pomodliła się w duchu, żeby był zarazem ostatni.

— Jak długo leżała w chłodni?

Maura zerknęła na wiszącą na ścianie kartę, gdzie odnotowywano czas przyjęcia zwłok do kostnicy i przeczytała, iż niezidentyfikowana kobieta została przywieziona koło południa. Osiem godzin temu. Od ośmiu godzin tkwiła zamknięta w worku. Co by było, gdyby wylądowała na moim stole? Gdybym rozcięła jej klatkę piersiową? Grzebiąc w koszyku z papierami przyjęć, Maura znalazła kopertę z dokumentacją dotyczącą nieznanym. — Przywiozła ją służba ratownicza z Weymouth — oznajmiła. — Utonięcie...

— Spokojnie, Nelly! — Pacjentka szarpnęła się, gdy ratownik wbijał jej w żyłę wenflon, dając tym samym sygnał, że powróciła do życia. Miejsce wkłucia rozkwitło magicznym niebieskim kolorem, ponieważ przebita żyła wywołała podskórny krwotok.

— Cholera, straciłem wkłucie. Pomóż mi ją przytrzymać!

— Człowieku, ona zaraz wstanie i sobie pójdzie.

— Stawia opór. Nie mogę założyć kroplówki.

— W takim razie ładujemy ją na nosze i zabieramy.

— Dokąd ją zawieziecie? — spytała Maura.

— Na izbę przyjęć pogotowia po przeciwnej stronie ulicy. Jeśli jest jakaś dokumentacja na jej temat, będą chcieli mieć kopię.

Maura skinęła głową.

— Spotkamy się tam.

□ □ □

Przed okienkiem rejestracji czekała długa kolejka pacjentów, a dokonująca selekcji pielęgniarka unikała spojrzenia Maury. Tej niespokojnej nocy trzeba było stracić kończynę albo broczyć krwią, żeby zostać przesuniętym na przód kolejki, lecz Maura, ignorując nienawistne spojrzenia pacjentów, podeszła wprost do okienka i zapukała w szybkę.

— Musi pani poczekać na swoją kolej — powiedziała rejestratorka.

— Jestem doktor Isles. Mam dokumenty właśnie przywiezionego pacjenta, które będą potrzebne lekarzowi.

— Którego pacjenta?

— Kobiety. Przed chwilą została przywieziona z budynku po drugiej stronie ulicy.

— Chodzi o kobietę z kostnicy?

Maura nie od razu odpowiedziała, zdając sobie nagle sprawę, że pacjenci w kolejce słyszą każde słowo.

— Tak — powiedziała tylko.

— W takim razie proszę wejść. Chcą z panią porozmawiać. Mają z nią kłopoty.

Zamek w drzwiach zabrzączał i Maura weszła na oddział. Wystarczył rzut oka, by się zorientować, co miała na myśli rejestratorka, mówiąc o kłopotach. Nieznajoma nie została jeszcze przeniesiona do gabinetu zabiegowego, tylko leżała na

korytarzu, owinięta kocem elektrycznym. Dwaj lekarze pogotowia i pielęgniarka nie mogli dać sobie z nią rady.

— Zaciśnij ten pas.

— Cholera, znów wyswobodziła rękę...

— Zostaw tę maskę tlenową. Nie jest jej potrzebna.

— Uważaj na kropłówkę, bo zaraz wyrwie igłę!

Maura rzuciła się w stronę noszy i przytrzymała pacjentkę za przegub, nim ta zdążyła wyrwać z żyły igłę. Kobieta wiała się, próbując uwolnić się z uścisku, długie, czarne włosy smagały Maurę po twarzy. Dwadzieścia minut wcześniej była jedynie ciałem o sinych wargach, zamkniętym w worku na zwłoki. Teraz zawrzało w niej życie, które z trudem opanowywali.

— Trzymaj ją! Przytrzymaj tę rękę!

Z gardła kobiety wydobył się odgłos przypominający skowyt rannego zwierzęcia. Odchyliła głowę do tyłu i dźwięk zmienił się w nieziemskie wycie, od którego Maurze zjeżyły się włosy na karku. To nie jest ludzki głos, pomyślała. Boże, kogo ja przywróciłam do świata żywych?

— Posłuchaj mnie! Słuchaj! — powiedziała stanowczo. Ujęła w dłonie głowę kobiety i spojrzała na jej twarz, na której malowało się przerażenie. — Nie dam ci zrobić krzywdy. Obiecuję. Pozwól nam sobie pomóc.

Po tych słowach kobieta się uspokoiła. Niebieskie oczy spoczęły na twarzy Maury, źrenice rozszerzyły się i wyglądały jak ogromne czarne jeziora.

Jedna z pielęgniarek próbowała ostrożnie przywiązać rękę chorej.

Nie, pomyślała Maura. Nie róbmy tego.

Kiedy pasek dotknął przegubu pacjentki, ta wyrwała dłoń, jakby została oparzona. Ręka skoczyła do góry, po czym Maura zatoczyła się do tyłu z policzkiem piekącym od uderzenia.

— Na pomoc! — krzyknęła pielęgniarka. — Wezwijcie doktora Cutlera.

Z gabinetu zabiegowego wybiegł lekarz i jeszcze jedna pielęgniarka, a Maura odsunęła się od noszy, ciągle czując ból. Zamieszanie przyciągnęło uwagę pacjentów w poczekalni. Maura widziała ich twarze za szybą, gapiące się na scenę, której nie zobaczyliby w żadnym serialu.

— Czy ma na coś alergię? — spytał doktor.

— Nie mamy jej karty zdrowia — odpowiedziała pielęgniarka.

— Co tu się dzieje? Dlaczego ona tak się awanturuje?

— Nie mamy pojęcia.

— Spróbujmy podać jej dożylnie pięć miligramów haldolu.

— Wyrwała sobie kroplówkę.

— W takim razie domięśniowo. Prędko! I trochę valium, zanim zrobi sobie krzywdę.

Kiedy igła przebijała skórę kobiety, ta znów przeraźliwie wrzasnęła.

— Czy coś o niej wiadomo? Kim ona jest? — Lekarz dopiero teraz zauważył Maure, która stała o parę kroków od noszy. — Czy pani jest krewną?

— To ja wezwałam ambulans. Jestem doktor Isles.

— Jest pani jej lekarzem?

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo ubiegł ją jeden z lekarzy pogotowia. — Doktor Isles jest lekarzem sądowym. Odkryła tę kobietę w chłodni kostnicy.

Lekarz spojrział na Maure.

— Pani sobie żartuje.

— Weszłam przypadkiem do chłodni i zauważyłam, że się poruszyła.

Doktor roześmiał się z niedowierzaniem.

— Kto stwierdził, że nie żyje?

— Przywiozła ją służba ratownicza z Weymouth.

Popatrzył na pacjentkę.

— Trudno uznać ją za nieżywą.

— Doktorze Cutler, sala numer dwa jest wolna — zawołała pielęgniarka. — Możemy ją tam przenieść.

Maura szła obok wózka, kiedy kobietę przewożono do sali zabiegowej. Haldol i valium zaczynały działać i pacjentka powoli przestawała się szamotać. Pielęgniarki pobrały jej krew i podłączyły na nowo do EKG. Na monitorze ukazał się rytm serca.

— Proszę mi teraz opowiedzieć o niej coś więcej, doktor Isles — rzekł lekarz, świecąc latarką w źrenice kobiety.

Maura otworzyła kopertę z kserokopiami dokumentów, które przyszedł wraz z ciałem.

— Wiem tylko to, co jest w tych papierach — odpowiedziała. — O ósmej rano służba ratownicza w Weymouth odebrała telefon z jacht klubu „Sunrise”, gdzie żeglarze natknęli się na pływające w zatoce Hingham ciało. Kiedy wydobyto kobietę z wody nie oddychała i nie można było wyczuć pulsu. Nie znaleziono przy niej żadnych dokumentów. Wezwano detektywa z policji, który orzekł, że był to najprawdopodobniej wypadek. W południe została przywieziona do kostnicy.

— I nikt w biurze lekarza sądowego nie zauważył, że żyje?

— Przywieziono ją, kiedy zajmowaliśmy się innymi przypadkami. Na autostradzie była kraksa, a do tego mieliśmy zaległości z poprzedniej nocy.

— Teraz dochodzi dziewiąta. Nikt przez ten czas nie zbadał tej kobiety?

— Umarłym się nie spieszy.

— Więc po prostu wędrują do chłodni?